

Śpiewany „Klub kawalerów”

Na premierze było sporo młodzieży, która reagowała żywo i bawiła się bardzo dobrze, szesza — o ile znam się na gustach łódzkiej publiczności — rozświetlanemu i roztańczonemu „Klubowi kawalerów” w ogóle można wróżyć długi i pogodny sceniczny żywot.

Co rzekłszy moge zacząć grymasić, jako iż mimo wstępnych komplementów grymasić jest doprawdy o co. Zaczynijmy od piosenek, którym starsza — pochodząca z 1890 roku — komedia Michała Bałuckiego nad wyraz szczerze przyparowała Krystyna Wednicka pospolu z kompozytorem Adamem Markiewiczem. Początkowo myślałem, iż beda one „Klub kawalerów” jedynie przyozdabiać, potem — że to niemal musical z aparatem orkiestrowym skromnie sprowadzonym do dwóch fortepianów, w końcu jednak, — gdy muzyka lała

się na sale nieustanna struga — zrozumiałem: oto doczekaliśmy się śpiewanego Bałuckiego, niemal bez oryginalnego autorskiego tekstu.

Chciałbym być dobrze zrozumiany: nie oburzam się na „szarganie świętości”, sławniejszych bowiem autorów przyparowano na musicalową modłę i niekiedy wcale dobrze na tym wychodzili, łzie mi jedynie o umiar, o zachowanie muzyki i dramaturgii, która każe piosence wykwitać w sposób naturalny i równie naturalnie w proze przechodzić, gdy tu tymczasem służy ona wszystkiemu: prezentacji bohaterów, opowiadaniu akcji, wszelakim deklaracjom i miłosnym wvznaniom. ba, nawet przerywnikiem między piosenkami staje się najczęściej również piosenka....

W rezultacie miał z uteskniem czekać, iżby aktorzy zaczęli śpiewać, niekiedy pragniemy raczej, aby choć na chwile przestali, zaś piosenki, rzeczywicie melodyjne i dowcipne („Kobieta jest jak szampa”, piosenka Dziurdziulińska o małżeństwie, miłosny duecik z III aktu) gubia się i traca na urodzie pośród „muzycznej masówki”.

To byłby zarzut pierwszy,

do opracowania tekstu, zarzut drugi odniósłbym do reżyserii. Irena Górska przygotowała rzecz potoczyście i sprawnie, zarazem (nie bez pomocy scenografa Stanisława Bakowskiego) najwyraźniej rozchwiała stylistycznie. Prowadzenie podstawowego zespołu mieściło się jakoś w naszych wyobrażeniach o epoce, Piorunowicz — w II akcie pojawiający się, to znikający niby diabeł z pudełka — zdal mi się już jednak przybyły wprost z teatru absurdu, biało-czarny akt III miał rodowód operetkowy, zaś rozmówki między pianistami a wykonawcami — wywiódłbym z kabaretu. Troche to za wiele jak na jedno przedstawienie i biednego Bałuckiego, który — pamiętajmyż — życie miał również nie najlżejsze.

Jeżeli przedstawienie mimo wszystko się broni, a nawet zbiera oklaski — jest to przede wszystkim zasługa grona wykonawców, muzycznego, utanczonego, doprawdy bardzo ciężko i rzetelnie pracującego na uśmiech widzów. Z panów wyróżniłbym chyba ogromnie zabawnego Krzysztofa Różyckiego (Motyliński), ale i pozostałym kawalerom — Ireneusz Kaskiewicz (Wvgodnicki) Stanisław Kwaśniak (Topolnicki), Jan Tesarz (Sobieniewski), Bohdan Wróblewski (Nieśmiałowski), Andrzej Herder (Piorunowicz) — należa się słowa uznania. Cokolwiek niesamowita

Dziurdziulińska, zacierająca się do swatania panów niby czarownica do łowienia dusz — była Danuta Kłopecka. Wiarygodnie, lekko i z wdziękiem poprowadziła rolę Jadwigi Alicja Krawczykówna. Alicja Zomer (Mirska) powtarzała chwilami środki wypróbowane w „Porwaniu Sabinek”, tak jednak lubie ten jej niski, gardlowy śmiech, że może to nawet i dobrze.

Barbarze Marszałek (Marynia) chciałem początkowo powiedzieć, że po całej serii ładnych, ostrych ról, nie powinna dać się obsadzać w charakterze cesi, cały III akt rozegrała jednak tak cieniutko i ładnie, że sam w końcu nie wiem, co o tym sądzić.

Zespołu dopełniali: Krystyna Tesarz (Kasia), Antoni Lewek (Ignacy) oraz Paweł Kruk, Józef Łodwiński, Andrzej Precis i Marek Sobczyk jako rewelerski, to jest — chciałem powiedzieć —



kwartet kelnerów.

Choreografia Barbary Bittnerówny, bodaj najdocięniejsza w układzie z czytany-mi gazetami.

JERZY PANASEWICZ

TEATR 7.15 — Michał Bałucki: „Klub kawalerów” — Premiera prasowa 14 listopada 1976.